

ANIOŁ STROZ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

NIEDZIELA W ZIMIE.

Pada śnieżek, pada,
Po ziemi się ściele,
Będzie zeń nie lada
Sanna na niedzielę!

Zabawić się trzeba,
Temu co w tygodniu
Nie jadł darmo chleba,
Pracował dzień po dniu.

Oleszcie się dzieci, dzieci,
Niedziela nadchodzi,
Dzwonią już saneczki,
Zabawić się godzi.

Padaj śniegu, padaj,
Niech się sanna ściele,
Oj będziemy biegali
Na przyszłą niedzielę!

M. Z.

OPIEKUN GARBUSKA.

W naszej szkole jest biedny mały garbusek, nazywa się Adamek. Dobry on jest, uczy się pilnie, ale taki jest chudy, wynędzniały, i oddycha z trudnością. Jego matka widocznie go bardzo kocha, bo codziennie sama przychodzi po syna przy końcu lekcji, gdyż obawia się, żeby nie wybiegł razem z innymi, żeby mu w ścisiku co złego się nie stało.

Z początku, niektórzy chłopcy strasznie dokuczali Adamkowi z tego powodu, że ma nie-

sześćcie być garbatym; wysmiewali się z niego i bili go książkami w plecy. Ale on nigdy nie oglądał się na tych, którzy go krzywdzili i nie matce swej nie mówił, pewnie dla tego, aby jej tem nie martwić, że syn jej jest pośmiewiskiem towarzyszy. Śmieli się z niego, przezywali, a on płakał i milczał, oparłszy czoło na ławce.

Wkrótce przybył do naszej szkoły nowy towarzysz, Władek Grabiński. Jest on największy i najsiłniejszy w całej klasie — podnosi ławkę jedną ręką, przytem jest niezmiernie dobry. O cokolwiek poproszą, natychmiast daje najchętniej. Scyzoryk, papier, ołówek, pióro — pożycza bez namysłu. W sobotę dał 10 fenigów chłopcu, który zgubił pieniądze i nie miał za co kupić kajetu.

On to zaraz na drugi dzień po wstąpieniu do szkoły zaopiekował się garbuskiem.

Widząc, jak go niegodziwi koledzy prześladują, wstał i zawołał głośno na całą klasę:

— Kto pierwszy dotknie się Adamka, albo mu zrobi jakąkolwiek przykrość, dostanie edemnie takiego kuksa, że trzy razy w kółko się okręci.

Najgorszy z kolegów, Florek, nie zważał na to ostrzeżenie i oberwał zaraz obiecanego kuksa w głowę, wykręcił się trzy razy na pięcie — potem nikt już nie tknął Adamka.

Nauczyciel posadził Adamka obok Władka w tej samej ławce. Chłopcy się zaprzyjaźnili, a Adamek pokochał Władka więcej, niż rodzzonego brata. Kiedy wchodzi do szkoły, zaraz go szuka. Władek odplaca mu tem samem. Kiedy Adamek upuści pióro lub książkę na podłogę, Władek copradziej się schyla, aby garbusek się nie trudził i podaje mu to pióro lub książkę; zawsze pomaga mu ułożyć książki do torby i ubrać się.

Musiał wreszcie Adamek wszystko opowiedzieć swej matce — i o tych bolesnych żartach, potracaniach, krzywdach, których doznawał z początku pebytu w klasie i o tym dobrym towarzyszu, co go wziął w opiekę, — bo oto razu jednego matka Adamka podbiegła do Władka, po-

całowała go w głowę i powiedziała głosem bardzo wzruszonym:

— Wiem, wiem już, drogi chłopcze, że jesteś przyjacielem-opiekunem mego syna, mego biednego Adamka. Niech Bóg Najwyższy wynagrodzi ci za to! niech Matka Boska ma cię w swojej pieczy.

Potem zdjęła z szyi srebrny medal z Matką Boską Częstochowską, włożyła go na szyję Władzie, mówiąc:

— Weź to, weź odemnie, zacny chłopcze, od matki biednego Adamka.

H. Amieis.



Na kresach.

Opowiadanie z zamierzonej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Głosy się zbliżały, a tętent koni coraz bardziej słyszeć się dawał.

— Otwieraj, do chaty Dodkowej! — zdaleka wołali przybysze.

Krasa usłyszawszy swojską mowę, kazała wrota otwierać, biegnąc do Dodka, by mu spóźnionych oznajmić gości.

Psy coraz głośniej szczekały, chowając się pod szopy, to znów wyskakując, jakby wśród przybyszów wroga poczuły.

We wrota wjechało dwóch ludzi, a oprócz tego do każdego konia, na grubym rzemieniu, przywiązany był człowiek wlokący się za koniem.

Psy rzuciły się na przywiązanych, a Gnilec, jeden z czeladzi w chacie Dodkowej, musiał ich odpędzić.

Życie w podwórzu budzić się poczęło. Tam i sam wyrzła głowa z pod szopy, słyhać było przeciągłe ziewnięcie... Każdy przeciągając się i przecierając oczy kułakiem, choć przy świetle księżyca, pragnął dojrzeć przybyłych. Konie usłyszawszy rżenie, rżeniem odpowiadały, jakby i one chciały okazać gościnę, lub przeczuwały, że z pod szopy wyjdą wkrótce na dalszą wyprawę.

Siwucha nawet się zerwała, a usłyszawszy zmieszane głosy, dorzuciła drew na ognisko, zbudziła dziewczki i kazała im zakrzętać się około jadła dla przybyłych.

Krasa przycupnęła na przyzbie chaty, a kryjąc się za węglem, ciekawie nasłuchiwała.

Przybyli z koni zsiadli, a oddawszy je parobkom, rozkazali, aby odwiązawszy prowadzonych ludzi, wzięli ich pod straż pilną. Sami szli do gospodarza.

Dodek, poznawszy z mowy swojaków, odrzucił łuk, stanął przede drzwiami chaty i wyciągnął dłoń na powitanie.

— Od Lechowego przybywamy Gnieszda, — mówił starszy z przyjezdnych, kłaniając się przed Dodkiem z oznaką uszanowania, jakie u Słowian od najdawniejszych czasów starcom oddawano.

— Od Lechowego? — A kto zacy i wielu was? — pytał Dodek, kładąc rękę na ramieniu przybyłego.

— Wojan, syn starego Lepoty, co przy Lechu siada i towarzyszy mój Sroka...

— Ze znanych rodów, przychodzicie od swoich, a obaj nieznani. Staremu trudno znać młodych. Aleście swojacy, witajcie więc, przelamcie chleb pod dachem Dodkowym — rzekł stary, wprowadzając ich do izby, oświetlonej szeroko płonąca kłoda drzewa w pośrodku ogniska.

— Przybywamy do was od Lecha — mówił Wojan.

— Do mnie od Lecha? A na cóż stary Dodek przyda się Lechowi?

— Znać mu was bardzo potrzeba, bo wzywa pilno, bo i czasu mu już braknie. Lech od ostatniego na wroga napadu legł na łożu, rana się nie goi, a dawne się otwierają; wzywa, byście mu stanęli do rady.

— Trudnać mu chyba rada — rzekł Dodek, zwiesiwszy głowę. — Jam stary z nim przybył na tę ziemię, i tyle oddałem jej swoich, a on pierwszy odemnie odchodzi.

— Syna wam chce polecić — dodał Sroka — a bez waszego głosu trudno mu też odejść. Wszak wyście najstarsi w plemienu.

— Najstarszy, oj i bardzo stary — odpowiedział Dodek z zaszępiłą twarzą, a zwróciwszy się ku drzwiom, zawołał:

— Chodak!

Głos zabrzmiał rozkazem, a tym rozkazem, co to nikt oprócz mu się nie zdoła. Każdy natychmiast do tego głosu, całą swoją postawą dowodził gotowości spełnienia rozkazu.

W całym podwórzu głos się ten rozległ; Chodak stanął we drzwiach, a czeladź była w pogotowiu, czekając, czy i do nich głos się ten nie zwróci.

— Konia mi gotować do drogi — huknął Dodek — ty i Chrom ze mną — na konie brać nie wiele ciężaru, trochę placków, mięsa się po drodze ubije. Dla gości niech baby przyniosą posiłek.

Ostatni ten rozkaz był zbytecznym; Siwucha, a za nią Krasa, niosły już misy, a chłopak wyrostek dźwigał dzban duży. Krasa postawiwszy misę na stole, przypadła do kolan Dodka.

— Dziadu, ci, co przyszli przy koniach, proszą o swobodę.

— Co ty tam znowu gadasz? — mówił Dodek.

— My w drodze — ozwał się Wojan — napotkali dwu ludzi, kryjących się w trzcinnie, z tamtej strony jeziora. Ujrzawszy nas, pomykali w zarośla, chcąc rzucić się w wodę, ale ptaszków ułowił. Z mowy i obyczaju cudzo wyglądają, może na przegład naszej ziemi wysłani.

a czolo jego i tak poorane zmarszczkami, poorało się jeszcze więcej.

— Z niewoli — mruknął półgłosem.

— Dziadu, oni z niewoli, — powtórzyła Krasa, siedząca ciągle u nóg Dodka, podchwyciwszy na wpół wymienione słowo.

— A no, trzeba ich wypytać — rzekł Dodek. — Byłemci i ja nad Łabą, Słowianie to jak i my, mowę mają jakby naszą, ino ci obcy



Zgłodniali.

— Mienią się być z zachodu, z za Łaby, jak my Słowianami. Byli w długiej niewoli i ztąd swej mowy zabyli — wtrącił Sroka. — Uciekli z tej niewoli, a wędrując tak, aż nad nasze morze przywędrowali. Zbiedzone to...

— Ale jednemu coś złe z pod kudłatego łba wygląda — rzekł Wojan. — Sądź ojcze, żali ich puścisz? Na waszej ziemi złowieni.

Dodek na wyraz: „niewola” pięść zacisnął,

Niemi... przybłądy, oboczne ich napadają i gnębia, nie dając oddechu. Oj znam ci ja, znam ich niewole.

To mówiąc, Dodek wyszedł z izby.

Krasa wymknęła się za nim, a przybyli, uwinąwszy się z jadłem, pospieszyli w podwórze.

III.

Jeńcy otoczeni czeladzią leżeli w kącie pod dwórzem, Młaskanie językiem i polykanie nagaś

Wśród przyszywanych słów, świadczyły o gościnności w zagrodzie Dedkowej, gdzie nie dają nikomu marzyć z głodu, a nawet jeńca opatrzą.

W ciemności trudno było rozpoznać jak wyglądali. Dedkowi też światła nie było potrzeba.

— Wstawajcie, raby, — rzekł Gnilec, potrącając nogą leżących, a zapaliwszy lucywo, oświecił leniwie podnoszących się z ziemi. Obaj byli wynędzniali, znać było na nich straszne zmęczenie i podróż daleką. Prawie bez odzienia, zaledwie strzępy jakichś szmat trzymały się na nich, a na rękę widniały ślady rzemienia, którym przywiązani byli do koni. Jeden z gęstym, rozczochranym, rudawym włosiem, którym gruby kark i ramiona były pokryte, patrzył z podełba wielkimi niebiesko-siwymi, niespokojnie biegającymi oczyma. Twarz długa, obraśnięta krótkim, jak szczecina, rudym, dopiero puszcającym się włosiem, świadczyła, że jeńiec młodym był jeszcze. Lecz postać jego silnie rozrosła, o ciężkich i niezgrabnych ruchach, dziwnie odbijała od drugiego, starszego wiekiem, średniego wzrostu, smagłej i zręcznej postawy z ciemnym włosiem, a jasnym i pogodnym wejrzeniem, oraz dobrodusznym wyrazem twarzy towarzysza. Tu i tam niewola wyrzyła swoje piętno. Lecz u pierwszego dała niepohamowany wyraz dzikości, drugiego napiętnowała cichem cierpieniem, co mogło być wskazówką do rozpoznania ich pochodzenia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nauka polskiego czytania i pisania.

Lekcya VI.

6 b, lu-bi, o-na lu-bi-ła wi-no; o-ni bi-li ma-łą ba-bę. ma-ła ba-bo, ma-ma bi-ła ba-bę, bi-bu-ła, o-na ma bi-bu-łę, to bo-li, tu bo-la-ło, ba-bu-ła,

Niech dziecko uczy się biegle czytać tych liter, z góry na dół, z dołu do góry, pojedynczych wyrazów wedle wskazania.

Równocześnie niechaj uczy się pisać, najlepiej ołówkiem w zeszyte z liniami.



ŁAMIGŁÓWKI

I.

Trzy litery — wyraz cały,
Jest na drzewie duży, mały.
Gdy odwrotnie przemyślane,
To go z chleba, z bułki made.

II.

Z żelaza potwór ogromny, straszliwy,
Dysze i ryczy, chociaż jest nieżywy,
W gębie ma ogień, w brucha pełno wody,
Pędzi szalenie z wichrami w zawody.

III.

Chełwców dużo jest na świecie.
Co im nieczem święta enota —
Daszą w skrzyaniach drugie trzecie.
A wciąż pragną więcej złota,
Jak za deszczem pierwsze trzecie,
Wyczekują, może wiesie.
Spotykamy wszystkie codzień —
Leżą one nade drogą.
Żmienne, martwe — a przechodzeń
Ze wzgardą kopie je noga.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 6

I.

W o s k.
— O g a r.
S o w a.
K r a j.

II.

1. Berlin. 2. Ural. 3. Dunaj. 4. Amazonka. 5. Pireneje. 6. Elba. 7. Stockholm. 8. Zofia. 9. Tajo. — Buda-Peszt.

III.

Kory — mary — komary.



Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 6 nadał: Joanna Beyer ze Starogardu, Brunon Hope i Józef Stromski z Łebna, Domicjan Szczodrowski z Koźmina, Franciszek Gmiński z Rybaków pod Chełmem, Franciszka Lniska z Chełma, Leon Pranski z Szklanej huty, Anna Gomułska z Łabiszyna W. Ks. Pozn.